

Pięciu nastolatków z marzeniami.
Pięć dekad strachu.
JEDNA MROCZNA PRAWDA.

PETER MAY
NA GIGANCIE



Trzech zrzedliwych staruszków

nimfa bagienna



Pamięć ludzka to przedziwny twór. Jakżeż osobliwych dokonuje wyborów! Czy zauważyliście, jak często zdarza nam się zapominać rzeczy istotne, a pamiętać błahe? Wspomnienia pełne są takich informacyjnych śmieci. Pamiętam na przykład wstęp do pierwszej przeczytanej przez mnie zachodniej (tak, tak – przywiezionej ze zgniłego Zachodu) książki popularnonaukowej. Nie pamiętam ani tytułu tej pozycji, ani nawet o czym ona traktowała, pamiętam natomiast bezbrzeżne zdumienie, jakie ogarnęło mnie po przeczytaniu wstępu. Otóż na mniej więcej dziesięciu stronach autor rozwodził się nad tym, czym ta książka *nie* jest. Niemal każdy akapit rozpoczynał się od słów „nie jest to książka o...”, „nie znajdziecie tu informacji na temat...”, „celem tej publikacji nie jest...”. I tak dalej, i tak dalej.

Od dawna kusilo mnie, żeby też coś takiego napisać. I oto nadarza się po temu wyśmienita okazja. Książka Petera Maya „Na gigantach” aż prosi się o taki opis. Rozpoczynam więc eksperyment formalny. Dalej będzie o tym, czym książka nie jest. Osoby o bardziej tradycyjnym podejściu uprasza się o pominięcie kilku następnych akapitów. Przejdźcie na koniec, tam znajdziecie zwyczajny opis, mówiący o tym, czym powieść jest.

„Na gigantach” nie jest powieścią detektywistyczną. Nie uświadczymy w niej ani śledztwa, ani żmudnego dochodzenia prawdy. Co ciekawe, książka rozpoczyna się od morderstwa, ale jest to sprytna pułapka zastawiona na czytelnika, który – rzecz jasna – chce się dowiedzieć, kto zabił. Czytelnik chce wiedzieć, natomiast główny bohater już wie. Wie, ale będąc nieco złośliwy staruszkciem, pokazuje figę i mówi „wiem, ale nie powiem”. Zabiera nas w podróż w czasie do Londynu lat 60. i opowiada całą historię od początku. I tak morderstwo – zamiast być punktem wyjścia, jak to zazwyczaj w kryminałach bywa – staje się punktem kulminacyjnym, momentem, ku któremu nieuchronnie prowadzi ciąg wydarzeń.

„Na gigantach” nie oferuje zagadki do rozwiązania. W klasycznym kryminale autor zwykł był pozostawiać ukryte wskazówki (przepraszam, nie mogłam się powstrzymać – uwielbiam czas zaprzesyły i ignoruję fakt, że jest to forma wymarła), robiąc wszystko, by na koniec czytelnik pacnął się dłonią w czoło, dziwiąc się, że sam nie wpadł na tak oczywiste rozwiązanie. U Petera Maya tego nie ma. Owszem, zakończenia można się domyślić, ale jest to bardziej przewidywanie tego, jak się akcja rozwinie, niż żmudne podążenie po tropach. Czytelnik jest więc raczej niczym matka, która – kiwając z dezaprobatą głową – wieszczy, że nic dobrego z tego nie wyniknie, niż jak tropiciel

podążający za złoczyńcą i wypatrujący pozostawionych niebacznie śladów.

„Na gigancie” nie jest opowieścią o zbrodni. Zbrodnia wymaga bowiem złego zamysłu, a u Maya o wszystkim (albo prawie wszystkim) decyduje fatum (albo mniej górnolotnie – zwykły pech). Mamy grupę ludzi, którzy albo znaleźli się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie, albo po prostu podjęli złą decyzję. Z głupoty. Z braku doświadczenia. Z wielu innych powodów, ale nie ze złej woli.

Dobrze, skończmy już eksperyment formalny (ciekawe, czy się udał?) i przejdźmy do formy klasycznej. Czy jest powieść Petera Maya?

To przede wszystkim opowieść o rozliczeniach z samym sobą. Bohaterowie osiągnęli wiek podsumowań. Każde życie istoty rozumnej jest tak naprawdę pasmem nieustających wyborów. Czasami dokonuje się ich w pełni świadomie, kiedy indziej przyjmuje się bierną postawę, pozwalając decydować biegowi wypadków. Żaden z wyborów nie jest jednak ostatecznym rozwiązaniem, a jedynie ścieżką prowadzącą ku kolejnemu rozwidleniu, gdzie znowu trzeba wybierać. U schyłku życia niewiele już można zmienić. Można jedynie analizować to, co się zdarzyło. Rozważać, co by było gdyby... I żałować.

„Na gigancie” to opowieść o domykaniu niezamkniętych spraw. Główny bohater czekał ćwierć wieku i dopiero u schyłku życia ma szansę doprowadzić do końca ostatnią, niezałatwioną sprawę. By tego dokonać, zdobywa się na niesamowity wysiłek, wciągając przy tym w wir zupełnie niespodziewanych wypadków swych dawnych kolegów.

Powieść Petera Maya jest też podróżą w przeszłość, ale (w przeciwieństwie do większości podróży sentymentalnych) nie idealizuje dawnych dobrych czasów, gdy byliśmy młodzi. Te czasy wcale nie były takie dobre. Owszem, pełne były obietnic i nadziei, ale życie pokazało, że większość z nich była złudna. A może nie? Może to bohaterowie nie potrafili skorzystać z szansy, którą dał im los?

„Na gigancie” to powieść pełna tęsknoty za latami młodości, gdy wszystko jeszcze było możliwe. Jest w niej też sporo nostalgicznych wspomnień o Londynie lat 60., o miejscu, gdzie rodziła się muzyka. Dla anglojęzycznego czytelnika może to być powrót do wspomnień młodości lub do miejsc i wydarzeń znanych z opowieści rodziców. Albo, w przypadku młodszych czytelników – dziadków. Historia sprawiła, że nasze lata 60. były nieco inne. Ciekawe, jak polski czytelnik odbierze powieść Petera Maya.

Agnieszka Chodkowska-Gyurics

Tytuł: „Na gigancie”

Autor: Peter May

Tłumacz: Jan Kabat

Wydawca: Albatros 2017

Stron: 400

Cena: 34,90 zł